

JAN SKŁODOWSKI

Zakopiańska willa

Historia prawdziwa, choć może się wydawać zmyślona

To więcej niż dwa słowa. Więcej niż stylowy drewniany budynek pod Giewontem. To jedyny klucz do poznania *esprit* Zakopanego jako miejsca kultowego, do otwarcia przysłowiowych czterech (w istocie wielu) spustów, na które dla profanów jest zamknięte (żaden wytrych nic tu nie wskóra, nic na skróty). Do wejścia w Zakopane takie, jakie było i jakiego już nie ma (choć paradoksalnie nadal jest – niby sprzeczność, a jednak). Ale nie każda willa takim kluczem może być. Musi spełnić wiele warunków. Musi pamiętać nie tylko ubiegłe tysiąclecie, ale i jego XIX wiek, czasy c.k. (ten, kto wie, co ten skrót oznacza, może czytać dalej). Musi być piętrowa, mieć skrzypiące schody, zagracony strych, w kącie drewniane narty pamiętające Barabasa, w starych szafach młode mole, w skrzypiącej podłodze rezolutne szczury. Ale przede wszystkim musi być naznaczona ciotkizmem (dalej będzie próba wyjaśnienia, czym on jest) – musi w niej mieszkać CZYJAŚ ciotka (najlepiej własna, w zasadzie jest to konieczne). Punktem odniesienia do określenia natężenia zakopiańskiego ciotkizmu niech będzie klimat „Witkiewiczówki” z jej Witkacowymi Ciotkami, w rzeczy samej „zero bezwzględne” problemu; wskaże je tamtejszy „ciotkizmometr”. Ciotkizm nie jest tu jednak potrzebny ot, tak sobie, jest konieczny – jako siła sprawcza – do zaistnienia i poznania CZEGOŚ. Tak stawiając sprawę, można ruszyć w kierunku ISTOTY rzeczy (choć jeszcze nie do jej sedna).

1

Tak, punktem wyjścia w rozważaniach, czym jest ciotkizm, warunkiem *sine qua non* ich powodzenia, jest właśnie postać ciotki i jej świat związany immanentnie z willą, więc nieodwołalnie, inherentnie, integralnie i nieusuwalnie. Ale też transcendentnie, bo nie dojdziemy za pomocą prostych zmysłów, dlaczego TAK ma być. Ciotka musiała być w miarę leciwa, musiała być z willą zharmonizowana – dziś by się rzekło: kompatybilna, swą aparycją i stworzonym przez lata otoczeniem – np. meblami w stylu zakopiańskim, pejzażami Kotarbińskiego i Rykały, malunkami na szkle Jana Szostaka, portretami autorstwa Rembowskiego czy Witkacego, wazonikami z pracowni Sobczaka „Johyma”, stosami (wręcz stertami) książek, także przedwojennych IKC-ów. Gdzieś w kącie musiało dudnić (bo ciotka powinna być niedosłyszająca) „Wolną Europą” stare lampowe radio mrugające filuternie neonowym okiem. W okno powinien dyskretnie (ale nawet i nachalnie – to zależy od lokalizacji willi) zaglądać Giewont (bo Giewont miał obowiązek wiedzieć, co się w KAŻDEJ prawdziwej zakopiańskiej willi dzieje). Ciotka musiała być także stanowcza, wprost apodyktyczna wobec INNYCH, świadoma – jako sawantka – swej mądrości biorącej się z głębokiego oddania poważnym lekturom zderzonym z życiowym doświadczeniem, obdarzona misją jej sugestywnego krzewienia. Ciotka w swym jedynym w swoim rodzaju *entourage* tworzyła tedy wokół siebie ten jej właściwy niepowtarzalny klimat – ciotkizm (choć z pewnością nie wiedziała, że tak właśnie z czasem – i to dzięki niej – zostanie nazwany). Przeważała być osobą prywatną, stawiała się instytucją kultury domowo-rodzinno-towarzyskiej, po prostu augurką, katedrą wszechwiedzy jedynej i ostatecznej, kreując system jej norm oraz intelektualnych i emocjonalnych zakotwiczeń, nawet wektorów. Gdy ciotka miała na imię Zofia (a tak się zdarzało), emanujące zeń fluidy dodatkowo wzmacniały jej ciotkizm i naznaczały go zaiste wysoką próbą. Z żalem wypada stwierdzić, że takich ciotek w dzisiejszym Zakopanem już się nie ma – odeszły niestety do wieczności. Ale jeszcze odnajdzie się przynajmniej jedną willę – niegdyś świątynię ich zakopiańskiego kapłaństwa, w której każdego gościa obdarzały solidną dawką uzależniającej zakopianiny.

2

Przeto dla PRAWDZIWEGO poznania DUCHA zakopiańskiej willi należało mieć w niej własną zakopiańską ciotkę – tak będzie nie tylko łatwiej, to jest konieczne. Istnienie ciotki tedy jest nie tylko warunkiem *sine qua non*, ale i dostatecznym powodzenia. Gdy się jej nie ma, opowieści tych, którzy ją posiadają, nie są wystarczające. Trzeba mieć ciotkę WŁASNĄ – koniec, kropka. Byli tacy szczęściarze, co mieli swe ciotki pod Giewontem – inni zazdrościli im. Specjalny rodzaj ciotkozazdrości. W takich ciotkach i unoszących się wokół nich oparach ciotkizmu tkwiła ISTOTA Zakopanego. Było więc czego zazdrościć.

3

Wracamy do zakopiańskiej willi. W rzeczy samej, by portret jej „wyzdajać”, wystarczy oddać się wspomnieniom. Gdy szedłem „Kościszczkami” z dworca kolejowego ku Krupówkom, było (mówiąc MIEJSCOWYMI) „piykanie, ino nie bardzo”. Na prawo okazały hotel, jak powiadali niegdyś górale, pani „Stamarowej” (w istocie Stamary – skrót od imion Stanisława i Marii Budziszewskich), dalej most na potoku, jakieś budowlane niby-nowoczesności, dom towarowy szpetny jak nieszczyście, na chodnikach tłoczno, na jezdni też. Wokół tandetna monotonia, wszystko estetycznie spłaszczone, zglajchszaltowane. Trudno sobie wyobrazić, że coś ciekawszego i wartościowszego – z MOJEGO punktu widzenia – będzie dalej. Bo to sprawa względna, dla większości przyjezdnych stare domy są zwykle właśnie bezwartościowe, nikt nie szuka w nich choćby śladów szlachtetnej dawności i jednocześnie dawnej szlachetności. Bo i po co. Zresztą, żeby szukać, trzeba wiedzieć, że jest CZEGO.

Przecinam Krupówki, na lewo budynek poczty, dalej „Monte”, po rozbudowie nowopotwerek. I jest, widzę ją – niegdyś piękną „Jagienkę”, dziś ponad stuletnią starą „Babę Jagę” z zabitymi deskami oczodołami okien. Drzwi też zabite – na szczęście, nie wypuszczają ze środka resztek zaprzeczności i TAMTEGO powietrza. Śmierć dawności, dosłownie i przenośnie zabite wszystko. Tak jest TERAZ.



▲ Willa "Jagienka", Zakopane 2015 (fot. Jan Skłodowski)

▼ Willa "Jagienka", Zakopane 2019 (fot. Jan Skłodowski)



4

Młodnieję o 130 lat, to w Zakopanem możliwe. Za mną Foluszowy Potok. Przede mną uwijają się budarze, roboty przy wznoszeniu willi pilnuje sam właściciel – Józef Sieczka. Mija kilka lat, znów tam jestem, w willi Maria Łaszczowa prowadzi pensjonat, któremu – zainspirowana Sienkiewiczem – dała na imię „Jagienka”. To uliczka Ogrodowa – dziś Zaruskiego. Bo nieopodal drewniany „Krywań” właśnie Zaruskich, a w nim – ich pensjonat. Piękne lata c.k., *belle époque* Zakopanego.

Ale zostajemy przy „Jagience”, teraz wystarczy odmłodzić nieco mniej, bo o jedynie 90 lat (to w Zakopanem tym bardziej możliwe). W „Jagience” na parterze zajmuje mieszkanie doktor Tadeusz Gabryszewski, zwany „Pstrągiem”, jako że to zapalony wędkarz. A rok przed wybuchem II wojny wprowadza się na piętro z rodziną Józef Fedorowicz, meteorolog z ksywą „Pimko” lub „Pimek” – „najmilszy człowiek na kuli ziemskiej”, jak się sam nazywał. Co prawda Witkacy miał go za „męczennika meksykańskiego”, choć „Pimek” w Meksyku nigdy nie był, ani też w „Jagience” nie gościł Meksykanów. Choć niewykluczone, że coś go w niej męczyło, bo w „Jagience” umiera na atak serca doktor Gabryszewski, to na początku 1940 roku – nazajutrz po obecności na cmentarzu, gdzie został wezwany dla stwierdzenia zgonu zastrzelonego przez gestapowca sportowca Władysława Berycha. Zgonu nie mógł stwierdzić – Berycha zasypywano ziemią, gdy jeszcze oddychał.

5

Cofam się znów do przeszłości z ubiegłego tysiąclecia, mniej odległej, już bardzo „postWitkacowskiej”, „peerelowskiej”. Drzwi wejściowe nie są jeszcze nieodwołalnie zamknięte. Wchodzę do sieni, a w zasadzie umykam przed prawie ocierającym mi plecy samochodem zdążającym wąską uliczką do pobliskiego „Domu Turysty”. Wieczór, żarówka przepalona, ogarnia ciemnawa tajemniczość, może lepiej – tajemnicza ciemnawość. Wysypujący się węglowy miał ze schowka pod schodami miał pokazać, że tu palą w piecach – a to ważny ceremoniał, nie jakaś tam ZWYKŁA proogrzewcza czynność. Czuć wilgoć – tę szlachetną, jeszcze galicyjską. Schody wyskrzypują bardzo przedwojenną melodię, gdy wnoszę się po drewnianej klawiaturze stopni deptanych przez RÓŻNYCH przedwo-

jennych WIELKICH. Dźwięki konkretne, jeszcze nieco nieśmiałe, niezafalszowane, same pełne nuty, żadnych półtonów i kiksów. Zresztą to dopiero preludium. Zasadnicza melodia dopiero się z nich wypoczwarzy.

6

Naciskam dzwonek, otwiera ONA – dla obcych Pani Zofia, a moja własna rodzona CIOCIA ZOSIA. Od razu widać – z jej twarzy, z całej JEJ, że w „Jagience” nie znalazła się przypadkowo, TAK musiało się stać, opatrność, przeznaczenie, nieodwołalność losu. Ona TO wie, jest o tym głęboko przekonana. Widać też, że CZEGOŚ w „Jagience” strzeże, że jest strażniczką JAKIEJŚ tajemnicy. Prowadzi do środka, mijamy drzwi do pokoi zajętych przez narzuconych przez kwaterunek lokatorów. Podłoga też trzeszczy, choć inaczej niż na schodach, teraz bardziej wyrozumiale brzmiącą melodyjką, zapraszająco, i czuje się, że właśnie TĘDY przechodzili niegdyś WIELCY.

7

W pokoju przy stole. Herbata, cukier w PRZEPASTNEJ jak wieczność cukiernicy. Zdaje się go w niej tyle, że starczy NA ZAWSZE. Dosypywać nie trzeba, a bliżej dna z pewnością zalega ten przedwojenny, warto się do niego dobrać. Ze ścian patrzą przenikliwie rodzinne, „Witkacowego” autorstwa, potwarze. Zaczyna się rozmowa, MUSI być istotna, na TAKĄ czeka świat, ludzkość, na inną szkoda ciotce czasu. Musi się wpisywać w jej system światopoglądowy, JEJ filoZofię, nigdy filoZosię (a tym bardziej filoZosieńkę). To poważna sprawa. Rozglądam się za TAJEMNICĄ. Bo jest. Czuję to.

8

W Zakopanem Zofia zjawiała się przypadkowo, w roku 1927 – jako młoda nauczycielka została tam wysłana na leczenie prewentyjne. Zamieszkała w pensjonacie nieopodal Kościeliskiej, prowadzonym w „Sobczakówce” przez przybyłych z dalekich Kresów seniorkę rodziny z dziećmi Józefem, Jadwigą i Marią. Zauroczyła Józefa na tyle, że obawiając się



W "Jagierce", 1985 (fot. Jan Skłodowski)

CIAĞU DALSZEGO, umknęła na inną kwaterę na odległym Bystrem. Tam ją Józio odnalazł. A w roku następnym, gdy ponowiła pod Tatrami kurację, zaproponował małżeństwo. Zofia odmówiła, lecz gdy adorator podczas wycieczki wskazał skałę, z której się wraz z otrzymanym „arbu- zem” z rozpaczy rzuci w przepaść, uległa. Wyznał, że tylko ona może być matką jego dzieci. To poskutkowało.

9

Siedzę więc przy stole, herbata stygnie. Cukru w przepastnej, pękatej cu- kiernicy faktycznie nie ubywa. Czas płynie leniwie, minuty ciurkają jak woda z topniejącego na dachu werandy śniegu podczas odwilży. A tu stuk – puk. W metafizyczne oczekiwanie na COŚ wkracza jak najbardziej realnie gaździnka z Białego Dunajca z pełnym nabiału koszem przywią- zanym białą płócienną płachtą do pleców, dziś dzień targowy, ona przy- chodzi tak od przed wojny, ale nabiał ma już na szczęście powojenny. A teraz sprzedać MUSI tym bardziej, że syn zamordowany, a jej brak *dutków* na kolejną gregoriankę. Jest w tym wszystkim jakies nad wyraz przejmujące teatrum, pełne wzniosłości wobec rodzinnej tragedii, którą

można złagodzić kupując ser i tuzin jajek. Więc warto, dobry uczynek, jemy jajka zaprawione refleksją o życiu i śmierci. Za tydzień przyjdzie z produktami gaździna z Gubałówki – ciekawe, jakie wieści przyniesie. Wizyta gaździny – punkt na drodze ku TAJEMNICY.

10

Przez okno zagląda Giewont. Kontroluje nadal, kto przyszedł. Notuje w swej skamieniałej pamięci, kto był dziś. Ale notuje od dawna – wczoraj, rok temu, przed 10, 20, 50 laty. Z 1938 roku zapamiętał próby Witkacego Teatru Niezależnego, zastanawiał się wtedy, dlaczego cieleń musiało mieć dwie głowy przy zgłębianiu swej metafizyki. Dla Zofii była to błazenada, niepotrzebna zgrywa, strata czasu, gdy świat zupełnie CZE-GO INNEGO potrzebował. Patrzyła na dokazujących teatralnie Józia i Witkacego z wyrozumiałością jako dla przyjaciela, ale jednak dezaprobatą. Zauważył, zapytał: „Pani patrzy na mnie, patrzy i myśli...”. Oczywiście, myślę – odpowiedziała, każdy człowiek powinien ważnym kwestiom myśl poświęcać”. „Ale ja wiem, co Pani myśli O MNIE” – odparł Witkacy. Zofia na to: „Bardzo proszę mi więc powiedzieć, co, Pana zdaniem, myślę. Jestem ciekawa”. „Pani myśli, że jestem gówniarzem”. „Ależ Panie Stanisławie, skądże znowu – ona na to – przecież dobrze wiem, że jak trzeba, potrafi Pan zachowywać się wytwornie...”. Witkacy wyszedł, a następnego dnia rano zastukał do drzwi „Jagienki” i otwierającej drzwi Zofii oznajmił: „Tak, ma Pani rację, że uważa mnie Pani za gówniarza”. Sprawę podsumował Józef, uczestnik teatralnych prób: „Stasiu, Zosiu – znacie się tyle lat, czy nie możecie do siebie mówić po imieniu?” A Witkacy na to: „O, trzeba by się nad tym dobrze zastanowić...”.

11

A tu inna wynurzająca się z przedwojenności dekoracja, więc znów cofnięcie w czasie i teatr formistyczny w pełni. Ponowne przywołanie Witkacego – tym razem w scenerii strychowych rupieci zagrożonego poderżnięciem (co najmniej) gardła – ukrytego tam przez Gospodarza „Jagienki”. Przed chwilą zapukał do drzwi, a właściwie załomotał pełen

metafizycznego niepokoju i egzystencjalnego przerażenia. Gonił go Krupówkami fryzjer, kochanek fryzjerki (to się zdarza nawet w Zakopanem). Wymachiwał brzytwą i deklarował (bez cienia metafizycznego niepokoju i z egzystencjalną pewnością), że Witkacy fryzjerkę podczas wykonywania manicure uwiódł (co ostatecznie mogło być prawdą, choć nie musiało), więc mu się NALEŻY. Witkacy zdołał umknąć. Sprawa stała się poważna, po kilku dniach strychowego ukrywania przyjaciela okazało się, że fryzjer z brzytwą w ręce pod „Jagienką” nadal krąży. Wtedy Józio przy drzwiach wejściowych postawił butelkę wódki i dwie szklanki, fryzjer (z brzytwą) stanął przed nimi, a sprowadzony ze strychu Witkacy za nimi od wewnątrz. Otwarcie drzwi, niczym rozwarcie kurtyny, doprowadziło na progu – niby udekorowanej w niezbędne tu rekwizyty scenie – do rozegrania się ostatniego aktu zażegnanej tragedii, gdy Witkacy i fryzjer wychylili po szklanicę na zgodę.

12

Zakopane to miejsce przygotowań do pierwszych wejść na tatrzańskie szczyty, tych w sportowym zdobywczym stylu, ale też i osadzonych w estetyzującej, Karłowiczowskiej filozofii taternictwa. Swe młode lata oddane taterniczej przygodzie znaczonej pierwszymi wejściami przywoływała w „Jagience” nestorka polskiego taternictwa Jadwiga Roguska-Cybulska zwykle każdego 15 maja podczas odwiedzin gospodyni – tego dnia solenizantki Zofii. Obdarowywała opracowanym przez siebie „Informatorem Tatrzańskim” – dziś unikatowym kartonikowym skrótownym kompendium wiedzy o górach. Opowieści o towarzyszach „na linie” – braciach Komarnickich, Romanie Kordysie czy Jerzym i Januszu Żuławskich – oraz wyprawie narciarskiej na Czerwone Wierchy z Klimkiem Bachledą przeplatała zachętą spróbowania przyniesionego imiennowego makowca: „Odkrój sobie Zosiu dwa kawałki, a resztę zabiorę do domu”. Wychodziła, pozostawały plasterki makowego ciasta i nastrój zatrzymanego czasu z Klimkiem Bachledą w tle. Zaglądał też imiennowo Bogusław Szerer, niespełniony artysta malarz, nieszczęśliwy mieszkaniec i były właściciel willi „Roztoka” zbudowanej przez jego ojca Oskara, geodetę, za honorarium otrzymane za wytyczanie granicy państwowej od Babiej Góry po Tatry – dziś nieco zapuszczonego obiektu zaanektowane-

go przez „kwaterunek”. Bogusław snuł opowieści przedwojennych „intymnych posiadów” z Witkacym, na co Zofia, bez dopytywania o szczegóły, reagowała z dezaprobatą. Ściemniało się, pod stolikiem z garnkami brzęknęła pokrywka – „to szczur”, powiedziała Zofia. Poczułem, że do TAJEMNICY „Jagienki” jestem o krok bliżej.

13

Porządna zakopiańska willa nie mogła się obyć bez narzuconych przedwojennym gospodarzom kwaterunkowych lokatorów – sąsiadów. To było zderzenie dwóch światów, niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju dramaturgia, którą z za grobu mógł zainscenizować jedynie Witkacy. Gdy Zofia zgłębiała filozofię Pierre’a Teilharda de Chardin czy antropozofię Rudolfa Steinera, bywało, że z sąsiednich pokoi dochodził pijacki rejwach. Potem wyłaniał się na wspólnym korytarzu sąsiad pod dorodną muchą z przeprosinami: „Pani Zofio – picie to przecież nic złego. Sam poeta Tuwim pięknie pisze o tym w swym wierszu *Alkohol*” – po czym z kieszeni wyciągał wyświechtaną książeczkę bez okładki i czytał:

*Te banalne walce kawiamiane
Urastają w tragiczne psalmodie!
Myśli moje, tańczące, pijane,
Ciebie w smętne wplatają melodie.*

„Proszę się na mnie nie gniewać – ciągnął z dystygowanym ugrzecznieniem właściwym pijakom – dziś wymienię w łazience (oczywiście wspólnej) zbitą muszlę klozetową. W sklepach od dawna nie ma, ale właśnie wczoraj *dziabnąłem* z toalety wagonu na bocznicę. Będzie pasowała”... Miał rację. Byt określił świadomość. Można było się na nowo wgłębić w ezoteryczną astralność Steinera. Po skorzystaniu z nowo zamontowanego sedesu, niegdysiejszego bywalca kolejowych szlaków.

14

Na imieniny przychodzili różni WIELCY. Okazji na przestrzeni choćby 20 lat było wiele – tym bardziej, że z mnożnikiem „2” – bo i „na Józefa”, i na „Zofię”. Bywały ponadto do wstąpienia okazje bez okazji. Dawniej kolejne robry trwały do rana, Rafał Malczewski czy Kornel Makuszyń-

ski byli wytrwali. Papierosiany dym i licytacje wsiąkały w ściany, jeszcze po latach płatki odpadającej farby odsłaniały wtłoczone w tynk różne „bez atu” czy „szlemiki”. Inni jako upominki dla gospodarzy przynosili swe landszafcki tatrzańskie, niekiedy były to całkiem udatne akwarelki od samej autorki – „Pani Cipy” (czyli „Rudej Wandy” – Gentil-Tippenhauer, której nazwisko gospodarz wymawiał z kresowym zaśpiewem o niezamierzonej filuterności jako „Cippenhauer”). Rzadkim gościem w „Jagience” bywał malarz Józef Hadowski. Pochodził z miejscowego ludu – z Bańskiej na Skalnym Podhalu, wykształcił się w krakowskiej ASP u Axentowicza, otrzymując brązowy medal. Żył w biedzie (wyglądającej na zewnątrz bardzo artystowsko), a nie potrafiąc sprostać ambicji stania się wielkim historycznym, równym Matejce malarzem, popadł w melancholijny obłęd, toteż górale patrząc na jego ukryte w długich włosach rzeźbione tragedią duszy oblicze, mieli go za świętego. Malował olejne (jak powiadał „przepracowane”, nadmiernie wykończone i przez to artystycznie nieporadne) portrety przyjaciół i członków rodziny swych zakopiańskich dobrodziejów, podczas proszonych u nich obiadów. Do „Jagienki” zaglądał zwykle w grudniu, po roratach w „nowym” kościele (tak nazywano wtedy parafialny, wzniesiony z kamienia, na dolnych Krupówkach). Nie miał zegarka, ale i upływ czasu nie miał dla niego większego znaczenia. Przychodził do kościoła o wiele za wcześnie i marznąąc w ciemnicy przedranka przed jego otwarciem obserwował harcujące psy. Później opowiadał: „Te psy w Zakopanem nie mają żadnego wstydu – robią TO bez skrępowania przy ludziach – ale... nic dziwnego, są przecież nieślubne”. Sytuacja taka powtarzała się prawie codziennie, wreszcie otrzymywał od Zofii zaproszenie na wigilię. Przychodził jak zawsze zaniedbany, choć wierzchnio odziany z fasonem – nosił otrzymaną od Witkacego nieco już połataną młodopolską czarną pelerynę po jego ojcu, Stanisławie. Zanim wszedł do pokoju i siadł do wigilijnego stołu, był zapraszany do łazienki: „Panie Józefie, u nas jest taki zwyczaj, że przed kolacją wigilijną każdy zażywa kąpeli i przebiera się w nowe ubranie. Prosimy do łazienki. Właśnie czeka na Pana w wannie ciepła woda, a obok rzeczy do przebrania się”. Peleryna po Stanisławie Witkiewiczu zawędrowała w tobole z innymi częściami garderoby Hadowskiego na Jagienkowy strych. To było w pierwszym okupacyjnym grudniu – Hadowski II wojny nie przeżył. Przeżyły za to mole, których kolejne pokolenia pożerały przez lata okrycie autora projektów willi w stylu zakopiańskim.

Od tej pory minęło wiele lat. W łazience ostała się tylko wanna bez instalacji ciepłej wody, z kąpielą „na pridumku”. Tobału z peleryną na strychu nie znalazłem – rozpadł się od kapiącej z dziury w dachu wody, reszty zniszczenia dopełniły buszujące wśród c.k. rupieci potomkowie c.k. szczurów. W ten sposób ważny atrybut twórcy stylu zakopiańskiego zespolił się na stałe z „Jagienką”, wniknął w jestestwo willi, namaścił ją młodopolskością. Po wypiciu kolejnej herbaty zapisałem tę historię. Jak najbardziej prawdziwą. Bez niej kronika dziejów „Jagienki” nie byłaby kompletna.

15

Noce spędzone w „Jagierce” bywały niespokojne. Z powodu przyjazdu rodziny i zajęcia przez nią miejsc w pokoju spałem na łóżku ustawionym w kuchni. Na stole pozostawiłem torebkę papierową z dwiema kajzerkami przeznaczonymi na śniadanie. Po zgaszeniu światła i zaśnięciu dotknęło mnie silne zdarzenie egzystencjalne, w istocie Jagienkowy determinizm. Obudził mnie rumor na stole – zapaliłem latarkę, ze stołu umknęły dwa dorodne szczury – torebka była poszarpana, wokół okruchy nadgryzionych bułek. Chwyciłem stojący w kącie kijek narciarski, stuknąłem nim kilka razy – dla szczurzego postrachu – w podłogę. Zasnąłem. Z kijkiem w ręce. Śniło mi się, że szczury biegają po całym pomieszczeniu, nacierają, a ja tym kijkiem opędzam się od nich. Oniryczne konfabulacje niebawem przeszły w rzeczywistość, choć może to ona je stymulowała – poczułem skaczące po kołdrze szczury. Zamachnąłem się kijkiem w ciemność – zapiszczała szczurzym chichotem. Zapaliłem światło – po bułkach ani śladu. Do rana nie spałem. Szczury pochowały się. TO musiało COŚ znaczyć. Faktycznie – gdy opowiedziałem ciotce tę historię, podsumowała bez oznak zdziwienia: „Tak, wiem, one wychodzą. I najgorsze, że zaczynają zjadać TE papiery. Miałam ich bronić, z JEGO nakazu, przez niedźwiedziami i lisami, co do tej pory mi się udawało. A okazuje się, że nie dam rady ich uchronić przed szczurami”. Opowiem o tym więcej w spokojniejszym czasie, gdy wyjadą moi goście”. Do TA-JEMNICY „Jagienki” krok kolejny.

16

Goście wyjechali, więc o szczurach słów kilka. Łączą się one z ciotkizmem, zespalają z nim harmonijnie stając się jego uzupełnieniem. Że były w „Jagience” na dobre zadomowione, nic dziwnego – jeśli zdołały opanować z człowiekiem odległe wyspy i archipelagi, to TUTAJ być muszą. Buszowały ich kolejne pokolenia nocami po stertach książek, wygryzały dziury w przedwojennych gazetach, zaglądały przez nie w przedwojenność. Stawiam tezę, że szczur, który zjadł kilka stron z Kierkegaarda, staje się domorosłym gryzoniem-mędrce, w PEWNYM sensie „Sokratesem Jagienki”. Ciotka żyje z nimi w swoistej symbiozie, zapewniając im prócz skórek z chleba także strawę duchową. Są za to ciotce wdzięczne, zapewne rozniosły tę wieść po rurach kanalizacyjnych sąsiednich willi. Ich z ciotką kohabitacja, wspólne przymusowe gospodarowanie z użyciem tych samych garnków i pokrywek, wspólne zainteresowanie archiwiami, to przyczyna jej wielkiego niepokoju – bo obawy, że zjedzą TO, czego nie powinny. Że napoczną TE papiery.

17

Okazało się, że „Jagienka” nie była jedna. Nie chodzi o to, że mógł być inny dom o takim imieniu. Rzecz w tym, że w tej jednej były ich dwie. Ale po kolei. W korytarzu mieszkania Zofii jest wiele drzwi, nie tylko do sąsiednich pokoi, ale też ściennych szafek i stojących szaf tak starych, że wprost wrosniętych w ściany, zgoła niewidocznych. Gdy się je otwierało, w każdej było COŚ. Za jedną z nich stały przedwojenne narty – nieokielznane stalowymi krawędziami, z zakurzonymi sprężynami „kandaharów”, w towarzystwie bambusowych kijków z okazałymi plecionymi „talerzyskami”. Drzwi na lewo prowadziły do kuchni, w której ostatni obiad był gotowany przeszło dwadzieścia lat temu, później już tylko do talerzy zaglądały pająki i myszy. A na prawo – zaczynały się drewniane schody prowadzące na poddasze – tam zaczynała się DRUGA „Jagienka”. Tam przed oknem wścibskiego kwaterunku chronił się maleńki pokoik, z trudem oświetlany niewielkim, znajdującym się w skośnej połaci dachu, okienkiem (oczywiście z widokiem na Giewont). Stojący przy wejściu piec dawał nadzieję na jakie takie ciepło, po kątach mieszkał stale mrok. Na ścianie wisiały starodawne gęśle roboty lutnika Bednarza z Bystrego, na



W poddasznym pokoiku Jerzego Gawlińskiego w „Jagience”, lata 40. XX w. (fot. NN, kolekcja Jana Skłodowskiego)

półkach obok spały przewodniki Chmielowskiego i Świerza. Między ich kartkami zasuszone wspomnienia z tatrzańskich wypraw. Na ścianach portrety dawnego mieszkańca pokoiku – rysowane przez Witkacego, miss Cooper, Rembowskię, Michałaka. Pod ścianami kufry, walizy i pudła, kufry, walizy i pudła... Wypełnione po brzegi JEGO rękopisami.

18

Ta DRUGA „Jagienka” właśnie się tam ZACZYNAŁA, a nie znajdowała. Bo nie była miejscem geometrycznym wyznaczonym kilkoma ścianami, podłogą i mansardową skośną powałą. O nie! Była początkiem CZEGOŚ, faktycznie szlakiem mierzonym nie metrami, a latami. Była drogą w przestrzeń czasu, wiodącą do spotkania z KIMŚ.

Była TAJEMNICĄ – będącą CZYMŚ, ale bardziej KIMŚ. Otwarcie drzwi do tego pokoiku jedynie ją potęgowało. Jej ciężar gatunkowy rósł, można go było mierzyć, jak się okazało, karatami.

19

Nie wszyscy odwiedzający Zofię o istnieniu pokoiku wiedzieli. Bardziej wtajemniczeni tak, choć nie wszyscy z nich uznawani byli przez nią za dostatecznie godnych, by przekroczyć jego próg. Pokoik od lat pozostał fizycznie niezamieszkały, faktycznie zamieszkały w nim wspomnienia. Zaludniła go nimi Zofia. Z czasem zaczęły żyć własnym życiem, odczuwalnym po wejściu do pokoiku. Wyzierały z każdego kąta, zakamarka,

szpar w podłodze. Pokoik był bardzo rzadko sprzątny, by nie usunąć choćby ich okruchu. W uchylnym poddasznym oknie z upływem dnia rozgaszczał się szklisty mrok, a blednąca przejrzystość szyby zmieniała je w lustro. Odbijało ono wypełniające pokoik sprzęty, których kształty w tym urojonym obrazie rosły, wychodziły z jego ram, wypełniając wnętrza swą zanikającą materialnością. Astralnym ciałem Jerzego. Bo ON tu niegdyś mieszkał. Tu się po śmierci niematerialnie materializował (to w TYM przypadku możliwe). Mag TEGO miejsca, Mag „Jagienki”. Autor i bohater swej WŁASNEJ KSIĘGI TAJEMNEJ w jednej osobie.

20

Zofia była przekonana, że TAK się musiało zdarzyć. Że PO TO zjawiała się w Zakopanem, że PO TO poznała Józia. Ale zdała sobie sprawę z tego dopiero z czasem, gdy ON TAM zamieszkał. Choć poznała go wcześniej. Wtedy to postanowił sportretować go Witkacy – zaintrygowany tkwiącą w Jerzym TAJEMNICĄ, zadał Zofii pytanie: „Dlaczego w Europie nie ma mędrców i proroków jak w Indiach?” I kontynuował: „Kto wie, kim jest ten Gawliński, co w nim siedzi?”. Jerzy był dwukrotnie zapraszany na seans portretowy do „Witkiewiczówki”, druga tam bytność Jerzego była dla Witkacego pretekstem dla nawiązania z nim ISTOTNEGO kontaktu. Konterfekt wyszedł astralny – tajemnicze oblicze w roju rozblyskujących komet, gwiazd i meteorów. Kosmos – on był duszą Jerzego. A w zasadzie to jego dusza była Kosmosem. Gdy zjawilem się w „Jagience”, Zofia to JUŻ wiedziała.

21

Ludwik Koniński, bywalec „Jagienki”, który poznał ułamek rękopisów Jerzego, ale i też z nim na tematy ISTOTNE rozmawiał, zauważył, że Gawliński „to jest człowiek prawdziwie serio”. A filozoficzne widzenie przez Konińskiego spraw świata wyrażone przez tytuły jego prac – *Nox astra* czy *Ex labyrintho* – i zestawione z „kosmicznym” portretem autorstwa Witkacego bez wątpienia wykazują, że Koniński Jerzego NIECO nadgryzł, trochę nawet rozgryzł. Ujrzał go w aurze mgławic i gwiazd, w labiryncie kosmosu. Zapewne zadał sobie pytanie, czy Gawliński ze swego astralnego labiryntu zechce wyjść. Tylko dokąd?

22

Więcej by powiedziała tu Zofia. Pani na Świątyni Mądrości, Królowa Wiedzy o Sprawach Świata. Mówiła, że WIE, (jako jego akolitka) kim jest Jerzy. Mówiła sugestywnie, wyglądało, że wie faktycznie. Że zostało TO wyraźnie (choć niewyraźnym pismem) przez niego napisane. Chciałem to sprawdzić, „przepuścić” przez siebie – zacząłem poznawać pisma Gawlińskiego. Zapisanych kartek było wiele, nawet bardzo. Wątpliwości co do wagi zapisanych tam rozważań nad sensem WSZYSTKIEGO wyraził przychodzący do „Jagienki” poeta Tomasz Gluziński, konstatując, że do zapisania rzeczy WAŻNYCH nie trzeba stosu papieru. Generalnie miał rację, ale nie w TYM przypadku.

23

Rzecz wymaga rozwinięcia. Przedstawienia miejsca Jerzego w stworzonym przez niego WŁASNYM układzie współrzędnych. Układzie więcej niż przestrzennym. Bez wątpienia ponadtrójwymiarowym, gdy jako osie dostrzeżemy i materialność, i intelekt, i emocjonalność, wreszcie duchowość. Aż się prosiło zapytać, gdzie tu STWÓRCA? Ale na TO pytanie było jeszcze zbyt wcześnie. Z pism Jerzego wyłaniał się obraz człowieka przede wszystkim RELIGIJNEGO, co nie znaczy, że wierzącego – choć nie znaczy też, że niewierzącego. Z Gawlińskim TAK właśnie było.

24

Ale *ad rem*. Coraz częściej wkraczałem na drewniane schody prowadzące do tej DRUGIEJ „Jagienki”, do matecznika TAJEMNICZY. W odwiedzinie do Jerzego. Którego już tam nie było, ale mimo wszystko BYŁ. Wejście na każde schody oznacza początek wchodzenia, ale te schody były inne, to był pierwszy krok do wznoszenia się. A wznoszenie się to czynność innej zgoła rangi niż pospolite wchodzenie – wejść można na piętro, ale wznieść – na wyżyny, choćby były fizycznie poddasznym piętrem. Więc samo to, że Zofia nazywała pokoik Jerzego poddasznym, stawiała idącemu po schodach wymagania, że musi się wznosić, więc kroczyć z refleksją, wsłuchując się w skrzypienie stopni, bacząc na ich szlachetne wytarcia od JEGO kroków (nie: butów – o nie, to byłoby zbyt prozaiczne). W przypad-

ku TYCH schodów ich stopnie przestały być zwykłym drewnem, uległy „oddrewnieniu”, stając się odmaterializowanymi ŚWIADKAMI minionego czasu, bo wchłonęły w siebie, co najistotniejsze, przede wszystkim jego OBRAZ. To znaczy, widać było po wpatrzeniu się w nie, że potrafiły zapamiętywać nie tylko, kto nimi się wznosił, ale z JAKIMI przemyśleniami, przeżyciami. Ten obraz, „wkroczone” (boć nie „wdeptany”) w sęki, pęknięcia i szpary był zrazu niewidoczny, dla wielu utajony, trzeba było mieć swój własny jego wywoływacz. Jak go przyrządzić, wskazywała Zofia. Ale nie każdemu. Temu jedynie, co nie wchodził po tych schodach, tylko się wznosił. Zofia umiała to zauważyć. Nawet sprawdzić.

25

Wtedy pozwałała wejść do pokoiku. Dzięki temu – oczyma wyobraźni – spostrzegalem JEGO. Siedzącego przy stole, przy lampie walczącej z mrokiem wieczoru, a później – z ciemnością nocy. Uznawał me-tempsychozę, więc z Zygmunta stał się Jerzym, w konsekwencji z Orcia przeistoczył się w Ortosa. Przed NIM „Nietota”, Księga tajemna Tatr, ale tajemna nie dla NIEGO. Tatry nie były dla NIEGO tajemnością, bo choć były częścią Universum, to istotę jego przecież dawno temu już pojął. Pisał SWOJĄ księgę tajemną ŚWIATA – tajemną i nietajemną zarazem – uwalniał symbole z niezdarnych, niepotrzebnych opakowań danych przez filozofów-mędrców-magów-Litworów. Kładł swe sentencje obsesyjnie i „do bólu” jawnie, „kawa na ławę”, bez kamuflażu wieloznaczności, zero półbogów, zero idolatrii – STWÓRCA jest JEDEN. Porzucił wszelkie formalne „wiary”, wszelkie „yzmy” i „izmy”, dla oddania się religijności ducha, własnej ortozoficznej wrażliwości wypowiedzi. Pisał swą księgę od młodości – od chwili, gdy ujrzał Tatry w 1901 roku. Zaczął od „alfa”, kreślił swego alfabetu kolejne litery emanujące siłą swego zawilego kroju, epatujące pozorną nieczytelnością. Sam się z czasem dziwił, że z dwudziestu kilku liter można ułożyć setki słów, złożyć z nich tysiące zdań, a z nich – po wielokroć więcej jednostronicowych rozpraw mówiących jego PRAWDE o Świecie i o Człowieku. To tu, w tych to mistycznych rozprawach zamieszkał STWÓRCA. Zappełniły one kilka potężnych kufrów i waliz. Wreszcie zapisał „omegę”. Było to 4 września 1951 roku – tego dnia skończył życie.



Młyn diabelski przy „Jagience”, 2023 (fot. Jan Skłodowski)

26

W Zakopanem pozostała z tego wszystkiego jedynie dawna „Jagienka” – hoża jeszcze w międzywojniu willa, dziś zapadająca się w ziemię pokraczna, szpetna rudera, przy której „Baba Jaga” to jednak piękność. Stojąc przed nią, staram się odczytać z jej jeszcze stojących ścian to, co pozostało albo i nie pozostało w środku. Drzwi, którymi na seans portretowy czy próby swego teatru wchodził Witkacy, czy też by na strychu ukryć się przed zemstą fryzjera zazdrosnego o uwiedzenie fryzjerki, są zawarte na amen, zamknięte na jeden WIELKI spust niebytu. W korytarzu pierwszego piętra zapewne pozostały już tylko stare, zbrojne w kandahary „zubki”, które już nigdy nie doświadczą tatrzańskiego śniegu. Dźwięk strun Bednarzowych gęślików ukrył się nieodwołalnie w pożółkłych, poniewierających się na podłodze wydartych stronach „IKAC-ów”, tak jak na zawsze zagasło światelko pełgającego płomyka hawiarskiego kaganka przyniesionego przed ponad wiekiem ze sztolni w Magórze (tak, WTE-DY, przez takie „ó”). Kufry i walizy wypełnione po brzegi kipiącymi eschatologią kartkami do złożenia w księgę życia Jerzego, stanowiącą duszę „Jagienki”, zostały wywiezione w nieznanym kierunku, nie mówiąc już nawet o miejscu. Mimo że obwarował on je swym zapisem testamen-

towym, by nigdy, i to pod żadnym pozorem, nie zostały z Zakopanego wywiezione. Aby nie dostały się w ręce wspomnianych już „lisów” – tych przebiegłych, którzy cynicznie wykorzystają je dla przyziemnej korzyści i niezasłużonej chwały – albo „niedźwiedzi” – brutali, nieświadomych ich wartości, traktujących je i niszczących bezpowrotnie. Być może czas pokaże, jaki je spotkał los. Albo też i nie, gdy pogrążą się wraz z niknącym dziś nieodwołalnie łodem zakopiańskiej Atlantydy w jego otchłani na zawsze.

P.S.

Doczesność zachichotała surrealizmem – na parceli sąsiadującej z „Jagienką” zadomowiło się bardzo wesołe miasteczko. Ustawiony tam DIABELSKI MŁYN, niby *Błędne koło* Jacka Malczewskiego, natarczywie zagląda do poddasznego pokoiku, co więcej, jest JEDYNYM obrazem widocznym przez jego jedyne okienko. Czy to aby nie spełniło się pośmiertnie profetyczne przeczucie Gawlińskiego, że świat staje się TAKIM właśnie młynem?

